

Zagraniczny

Stanisław Skrowaczewski 3 X 1923–21 II 2017

Dyrygenci często żyją bardzo długo i pozostają aktywni niemal do końca życia. Leopold Stokowski przeżył 95 lat, Arturo Toscanini – 90, Pierre Monteux – 89, Bruno Walter – 86, by wymienić tylko kilku najbardziej znanych. Zmarły w tym roku Stanisław Skrowaczewski ukończyłby w październiku 94 lata. Działalność koncertową rozpoczął jako nastolatek. W roku 1934 wystąpił z pierwszym recitalem fortepianowym (transmitowanym przez radio), a ostatnim koncertem dyrygował jesienią ubiegłego roku. Stanowi to absolutny rekord – 82 lata intensywnej działalności artystycznej.

Skrowaczewski był niewątpliwie tym, kogo potocznie określa się mianem *Wunderkinda*. W siódmym roku życia zaczął komponować, w trzynastym wystąpił w rodzinnym Lwowie w podwójnej roli – pianisty i dyrygenta – wykonując *III Koncert fortepianowy* Beethovena. Zapowiadał się na świetnego wirtuoza, lecz kontuzja obu dłoni, której doznał podczas bombardowania w 1944 r., przekreśliła jego szanse na karierę pianistyczną. Po przymusowym wysiedleniu Polaków ze Lwowa, gdy zamieszkał w Krakowie, w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej podjął studia kompozycji (pod kierunkiem Romana Palestra) i dyrygentury (pod kierunkiem Waleriana Bierdiajewa). Jeszcze jako student w 1946 r. objął stanowisko drugiego dyrygenta Filharmonii we Wrocławiu.

Rok później stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki pozwoliło mu na kontynuację studiów w Paryżu. Jak większość kompozytorów polskich, którzy w latach trzydziestych studiowali we Francji, trafił do legendarnej Nadii Boulanger. Pod jej kierunkiem doskonalił umiejętności kompozytorskie, u Pawła Kleckiego zaś – dyrygenckie. Miał też wówczas okazję dyrygować Orchestre Radio-Symphonique de Paris.

Po powrocie do kraju jego dyrygencka kariera nabrała tempa. W latach 1949–1954 był dyrektorem artystycznym i pierwszym dyrygentem Filharmonii Śląskiej w Katowicach, potem przez dwa lata pierwszym dyrygentem Filharmonii w Krakowie, a w 1956 r. związał się z Filharmonią Narodową. Odnosił również sukcesy jako kompozytor, m.in. w Liège otrzymał nagrodę za *III Kwartet smyczkowy*, *Uwerturę 1947* wyróżniono na Konkursie im. Szymanowskiego, a *Suita symfoniczna* zdobyła Złoty Medal na Konkursie Kompozytorskim w Moskwie w 1956 r. W tym samym roku przyznano mu pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie dyrygenckim Akademii Santa Cecilia w Rzymie. Miała się stać dla Skrowaczewskiego początkiem międzynarodowej kariery, choć zrazu nic na to nie wskazywało. Wzbudził wprawdzie sensację, ale gdy wrócił do kraju, koledzy zaczęli spoglądać na niego kosym okiem, a Ministerstwo Kultury i Sztuki zaproponowało mu objęcie drugorzędnej wówczas orkiestry w Bydgoszczy.

Propozycję tę odebrałem jako policzek – wspominał ten fakt wiele lat później. – Nie mogłem się na to zgodzić, zostałem więc „na lodzie”. Dyrygowałem dorywczo za granicą. Kiedy dostałem propozycję wyjazdu do Ameryki [...] zdałem sobie sprawę, jak nienormalna atmosfera towarzyszyła mojej pracy w Polsce. Musiałem opuścić kraj, aby umieć spojrzeć na to wszystko z dystansu.

Propozycję wyjazdu do Stanów Zjednoczonych otrzymał dwa lata po rzymskim sukcesie od George’a Szella, który przyjechał do Polski z orkiestrą z Cleveland. Amerykański debiut Skrowaczewskiego okazał się na tyle udany, że zaowocował kolejnymi zaproszeniami – między innymi do Nowego Jorku. Stojąc przed Nowojorską Filharmonią, Skrowaczewski nie wiedział, że przyjechali posłuchać go wysłannicy orkiestry z Minneapolis, szukający nowego szefa. Polski artysta wywarł na nich jak najlepsze wrażenie, zaproszono go więc do Minneapolis. Najpierw otrzymał kontrakt roczny, później trzyletni, wreszcie bezterminowy. W 1966 r. przyjął obywatelstwo amerykańskie.

Minneapolis Symphony Orchestra (od 1970 r. przemianowaną na Minnesota Orchestra) Skrowaczewski kierował w latach 1960–1979, dyrygując równocześnie gościnnie wieloma zespołami w Ameryce, Azji i Europie. Zapraszały go również teatry operowe, wśród nich Wiener Staatsoper i nowojorska Metropolitan Opera. W 1979 r. odszedł z Minneapolis, by – jak mówił – zaznać pełnej niezależności artystycznej (i zyskać więcej czasu na komponowanie). W 1984 r. przyjął jednak propozycję kierowania najstarszą brytyjską zawodową orkiestrą – Hallé w Manchesterze, i w ciągu sześciu lat uczynił z niej czołowy zespół europejski. Dopiero rozstawszy się z tym zespołem, poprzestał na stałych gościnnych występach. Jako główny dy-

rygent gościnnie z Saarländischer Rundfunk Orchester nagrał komplet symfonii Antona Brucknera, w 2002 r. uhonorowany w Cannes nagrodą za najlepsze nagranie muzyki symfonicznej końca XIX wieku. Regularnie koncertował w Japonii, gdzie od 2007 r. do śmierci był głównym dyrygentem Yomiuri Nippon Symphony Orchestra w Tokio.

Do Polski zaproszono go po upływie prawie trzydziestu lat, pod koniec istnienia PRL-u. Wystąpił wówczas z Hallé Orchestra w ramach festiwalu Wratislavia Cantans w 1987 r. Tym koncertem świętował 40-lecie swojej pracy artystycznej, za jej początek uznał bowiem koncert, który parę tygodni po zakończeniu wojny dał w kompletnie zniszczonym wówczas Wrocławiu. W następnych dekadach powracał już regularnie, najczęściej po to, by dyrygować orkiestrą Filharmonii Narodowej lub Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach. W maju 2002 r. przyjął nawet stanowisko pierwszego dyrygenta gościnnego NOSPR-u. Polska publiczność niecierpliwie czekała na każdy jego przyjazd. Ostatni koncert w kraju dał wiosną 2016 r., zbiegiem okoliczności we Wrocławiu. 92-letni artysta zadyrygował wówczas monumentalną *VII Symfonią* Antona Brucknera (ponad 70 minut muzyki bez przerwy), stwarzając z orkiestrą Narodowego Forum Muzyki kreację na najwyższym poziomie.

Dyrygował głównie repertuarem klasycznym, po twórczość powstałą w pierwszej połowie XX wieku. Stosunkowo rzadko sięgał po dzieła Bacha i Händla. Jego świat muzyczny stanowiły przede wszystkim utwory Beethovena, Schuberta, Schumanna, Brahmsa, a szczególnie Brucknera i Szostakowicza. Pokażne miejsce zajmowała jednak w jego repertuarze polska muzyka współczesna. Był pod tym względem raczej wyjątkiem, bowiem polscy dyrygenci na ogół wykonują na świecie dzieła ze standardowego repertuaru, niemal automatycznie gwarantujące gorące przyjęcie przez przeciętnych melomanów. Skrowaczewski przeciwnie, odważał się na to, by wprowadzać na estrady utwory Witolda Lutosławskiego, Krzysztofa Pendereckiego, a także Romana Palestra, Grażyny Bacewicz, Henryka Mikołaja Góreckiego, Tadeusza Bairda, Wojciecha Kilara i innych. Potrafił też zainteresować nimi wielu wykonawców.

Roman Jasiński, wieloletni dyrektor redakcji muzycznej Polskiego Radia w Warszawie, wspominał:

Skrowaczewski tak szybko i pewnie zaawansował w hierarchii dyrygentów marki światowej, [gdyż] był to nie tylko muzyk tęgi i dyrygent doskonały, lecz też człowiek doskonale się prezentujący, znakomicie wychowany, do przesady ugrzeczniony, a też posiadający w wysokim stopniu umiejętność obcowania z ludźmi. A to w Stanach Zjednoczonych się liczy, i to bardzo.

Istotnie, Skrowaczewski był również dyrygentem nietypowym w życiu prywatnym. Mistrzowie batuty, przyzwyczajeni do komenderowania i narzucania swojej woli muzykom, taki sposób zachowania często przenoszą na relacje pozazawodowe – jemu było to całkowicie obce.

Osobiście miałem wielką przyjemność z obcowania z tym niezwykłym człowiekiem, pełnym empatii, nieczęsto opowiadającym o sobie (jakże rzadka cecha wśród artystów!), zainteresowanym swoimi rozmówcami. Był wszechstronnie wykształcony i odczytany (w czasie wojny studiował filozofię, którą pasjonował się do końca życia), biegle władał kilkoma językami. Pozostawał w rozmowach niezmiennie pogodny i, co też rzadkie wśród muzyków, nigdy nie mówił źle o kolegach, nawet o tych, którzy (o czym dobrze wiedziałem) nie należeli do osób mu życzliwych. Bardzo lubiłem jego niespodziewane telefony, rozpoczynające się zawsze od słów wypowiedzianych jakby niepewnym głosem: „Krzysztof... witaj... jak Danuta?”, co było wstępem do niekiedy nawet godzinnej rozmowy. Lubiałem też, gdy ponosiła go fantazja i opowiadał historie dość odległe od prawdy, ale robił to tak barwnie i zajmująco... Pamiętam, jak kiedyś przekonywał mnie, że istnieją źródła, z których wynika, że Mozart dożył sędziwego wieku. Zmienił tylko nazwisko i przestał komponować.

Podobnie jak Witold Lutosławski, należał do wymierającego już pokolenia ludzi o ogromnej kulturze i nienagannych formach. Dla polskiej sztuki jego śmierć oznacza niepewetowaną stratę, dla jego bliskich – ogromny żal po odejściu Przyjaciela.

Krzysztof Meyer